

# Marek Sołtysik

---

## Fatum?

---

Palestra 48/7-8(547-548), 141-144

---

2003

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# PROCESY ARTYSTYCZNE

Marek Sołtysik

## FATUM?

19 stycznia 1905 roku dwudziestodwuletni profesor warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, najślawniejszy polski rzeźbiarz XX wieku, Xawery Dunikowski, wystrzałem z rewolweru zabił o dziesięć lat odeń starszego Wacława Pawliszaka, znanego malarza. Stało się to – w restauracji. Jakie były motywy?

Dunikowski, urodzony w Krakowie, syn nadkonduktora kolei warszawsko-wiedeńskiej, kojarzy się powszechnie z rzeźbami nowoczesnymi w formie, lecz czytelnymi. Często reprodukowane – nawet na znaczkach pocztowych – *Tchnienie*, *Macierzyństwo*, *Głowa Mickiewicza*, prócz doznań estetycznych budzą w widzu najlepsze uczucia. Krakowianie żyli się z posągiem prezydenta Dietla, dłuta Dunikowskiego, osadzonym przed kościołem Franciszkanów – szczęśliwie z witrażem Wyspiańskiego w tle. Dziełem rzeźbiarza jest tam również przejmująca figura Chrystusa na fasadzie kościoła Jezuitów w dzielnicy starych klinik uniwersyteckich. Warszawianie podziwiają w pałacowych wnętrzach Królikarni *Madonny* Dunikowskiego, ich świętość; *Kobiety brzemiennie*, ich wysublimowaną subtelność... Autor – nikiemnikiem?

Za mocne słowo. Zabił w wyniku osobistego zatargu.

Niski, ale o gorejącym wzroku, w wybuchu wściekłości unicestwił przystojnego Pawliszaka, niedoścignętego jeźdźca, szermierza i strzelca, znającego ponadto wschodnie sztuki walki, syna dyrektora finansowego Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Warszawie, światowca, w atelier otoczonego wschodnią bronią i tkaninami, przywiezionymi w 1895 z Konstantynopola, gdzie malował dla sułtana... Dlaczego Dunikowski to zrobił? On – który sam, bywało, głodny, szedł za niejednym konduktem umarłego z wyczerpania kolegi z kursu rzeźby – ryzykował sumę wysiłków włożonych w dochodzenie do statusu cenionego artysty? Owszem, był drażliwy, w Akademii Krakowskiej nie potrafił dojść do porozumienia z wielkim rzeźbiarzem, profesorem Konstantym Laszczką, choć z profesorem Alfredem Daunem, rzeźbiarzem poprawnym, umiał. Dunikowskiego trawiła ambicja. Nie mógł

żyć bez poklasku. Sepleniący i w butach na wysokich obcasach, przydających mu wzrostu – także w sztuce był przeciwieństwem Pawliszaka.

Wacław Pawliszak doskonale opanował realistyczny warsztat; batalista i malarz koni, wcześniej ceniony w środowisku (heliograviury z jego obrazu *Na straży haremu* stanowiły premium dla członków „Zachęty”), wyróżniony jeszcze na Wystawie Powszechnej w Paryżu w 1900, w epoce nowej sztuki, wobec radykalnego odrzucenia naturalizmu na rzecz ekspresjonistycznej dowolności, wobec zaistnienia nowego lobby, z dnia na dzień stał się w swym mieście *persona ingrata*. Może bardziej mu się tak wydawało... ale głosy krytyki, kierowane przeciwko jego sztuce, robiły swoje. Urażony w dumie, strącany, stał się typem bardziej drażliwym niż Dunikowski. Ostatni przed śmiercią rysunek Pawliszaka przedstawia jego samego jako Don Kichota. Mówiło się, że jest przeczulony na sprawy honoru. Miewał zatargi z kolegami, kilka lat wcześniej sprowokował pojedynek. No i...trafiła kosa na kamień.

Dunikowski był w Warszawie wyczekiwany, Pawliszak już *de modé!* W kręgach opiniotwórczych przestał się liczyć realistyczny warsztat malarski, latami cyzelowany w Akademiach w Monachium, Rzymie i w Paryżu. Ważne stały się manifesty! Malarskie sztuczki Pawliszaka, które sprawiały, że obraz olejny wygrywał z fotografią, budziły zazdrość. Trzeba było jakoś ją zniwelować. W aurze młodopolskich niedopowiedzeń łatwo więc przyjęło się przekonanie, że jego obrazom brakuje poezji. Ot, co! Dunikowski, hołubiony w nadającym ton sztuce polskiej Krakowie przez Stanisława Przybyszewskiego, Meteora Młodej Polski – związany z kabaretem Zielony Balonik, przed wyjazdem do Warszawy tak bywał widywany:

– Z Jamy Michalikowej „wynoszą Xawerego Dunikowskiego, który w powietrzu miota się jak opętany i, gdzie może osiągnąć, rozdaje policzki”.

To napisał Tadeusz Żeleński Boy, naoczny świadek, który i w ćwierć wieku później nie przestanie nazywać Dunikowskiego „genialnym rzeźbiarzem”.

Nie da się ukryć: Dunikowski był człowiekiem gwałtownym – i to się nasilało, im bardziej chodził w glorii. Po tryumfach odniesionych w 1902 na XV wystawie Wiedeńskiej Secesji, gdzie go zaproszono z rekomendacji prestiżowego stowarzyszenia „Sztuka” – „stawiał się” starszym kolegom o nieporównanie większym dorobku niż jego.

Jeśli poszperać w prasie z epoki, okaże się, że z Pawliszakiem jednak rzecz trochę inaczej się miała. Malarz od lat miał być opętany urojeniami. Z tym ekstrawaganckim gwałtownikiem można było dojść do ładu wyłącznie metodą najłagodniejszej perswazji. Ludzie woleli schodzić mu z drogi. Z relacji *Wieku* łatwo wywnioskować, że złośliwi koledzy jurorzy wykorzystując objawy manii prześladowczej u Pawliszaka, najpierw nie przyjęli jego nowego obrazu na doroczny Salon Zachęty (jakież to policzek!) – a płótno, na którym autorowi mniej zależało, powiesili obok obrazu malarza L., z którym był Pawliszak na noże! W poczuciu zniewagi Pawliszak ostentacyjnie zabrał swój obraz w dniu wernisażu i wysłał do członków jury obelżywe listy. Wśród jurorów był Dunikowski, który na list odpisał, że jako od niepoczytalnego satysfakcji odeń nie żąda. Obrażony malarz począł nachodzić rzeźbiarza.

Jan Krywult, właściciel salonu sztuki, w którym Dunikowski przygotowywał swoją wystawę, „taktownie nie dopuścił” (wg dziennikarza *Wieku*), do konfrontacji z rzeźbiarzem... zamykając Pawliszaka w biurze na klucz.

Trochę trudno się dziwić, że nazajutrz, kiedy w dniu wernisażu Krywult z Dunikowskim jedli obiad w warszawskiej restauracji Lijewskiego przy Krakowskim Przedmieściu, zjawił się Pawliszak, stanął przed rzeźbiarzem i ze słowami: – Panie Dunikowski! – zamierzył się, aby go spoliczkować. Nie zdążył. Dunikowski, od dawna przygotowany na odparcie ataku, według Krywulta, „gwałtownym ruchem dobył z kieszeni dolnego ubrania rewolwer i nim Pawliszak zdążył go uderzyć, padł strzał. Pawliszak zalany krwią runął na podłogę. Kula przeszła przez prawy policzek, wysadziła oko, przeszła mózg i utkwiała w czaszce”. Wacław Pawliszak, nie odzyskawszy przytomności, zmarł w nocy o godz. 1.50 w szpitalu św. Rocha. Głosy twierdzące, że z racji arcytrudnego usposobienia nie miał znajomych, podważa fakt, że nazajutrz po tragedii – jak donosił *Czas* – zebrało się grono przyjaciół zmarłego, żeby się zająć sprawą zabezpieczenia wychowania jego trzyletniej córki (Pawliszak rok wcześniej owdowiał).

W ten sam czwartek i o tej samej porze, co zdarzenie w warszawskiej restauracji – ok. godz. 16.40 – w Petersburgu nieudany zamach na cara zapoczątkował rewolucyjne wrzenie w Rosji i odtąd pierwsze strony gazet zajmowały już wieści stamtąd. Tymczasem Dunikowski, zatrzymany w cyrkule, wyjaśnił, że aby uniknąć zniewagi czynnej, strzelił do Pawliszaka. W prasie podano, że zabójca pozostanie w więzieniu do czasu złożenia kaucji kilkuset rubli. W sobotę, 21 stycznia, został wypuszczony po złożeniu kaucji... 2000 rubli. Nie byle co!

Zanim skłócony z radą Szkoły Sztuk Pięknych przeniósł się do Krakowa na świetniejszą niż w Warszawie posadę profesora Akademii, do roku 1909 żył i pracował normalnie. A przecież 29 kwietnia 1905 ukończono śledztwo i – przepisuję za *Czasem* – „Dunikowski pociągnięty został z 2 cz. 1455 art. kod. kar. gł. i popr., który głosi: «Winny popełnienia zabójstwa, aczkolwiek nie przypadkiem, lecz w rozdrażnieniu, zwłaszcza jeżeli rozdrażnienie było wywołane przemocą lub ciężkim zelżeniem ze strony zabitego, podlega według uznania sądu: pozbawieniu wszystkich praw stanu i zesłaniu do robót ciężkich na czas od 8 do 12 lat, lub od 4 do 8 lat, lub też zesłaniu na osiedlenie na Syberii». – Akt oskarżenia, sporządzony przez prokuratora Tanorzeńskiego, zawiera dwa duże arkusze. W charakterze świadków między innymi powołano adw. Bronisława Kułakowskiego, Jana Wernera, Jana Krywulta, adw. Kazimierza Juliana Jasińskiego (w chwili zajścia jadł obiad przy sąsiednim stoliku), artystę malarza Kazimierza Stabrowskiego, Zygmunta Żeliszawskiego, artystę malarza Ferdynanda Ruszczyca i Florę Hufnagel”.

Zacne nazwiska! Dunikowskiemu, poza tym poddanemu austriackiemu, nie rosyjskiemu, dodatkowo pomogły wichry historii. O obronę pamięci Pawliszaka mogła się wstawić najwyżej matka zmarłego: chora, zrozpaczona wdowa.

Ale uwaga! Co w dziele Dunikowskiego świadczy o wielkości artysty? Otóż tylko rzeźby stworzone do chwili zabójstwa Pawliszaka – z uwzględnieniem wystawianych

do 1907 r. tych, które w momencie oddania fatalnego strzału miał na warsztacie. Inteligentny i bystry – rozgonił chmury, które się nad nim skłębiły w Warszawie – i już mniej dbał o rozwój talentu, wysiłki kierując na budowanie swej sławy. Poprzez bywanie, wykorzystywanie okazji w najstosowniejszych momentach, zaradnością wygrał los na loterii życia. Przed II wojną światową cieszył się taką sławą, że zamówiono u niego *Głowy wawelskie*, uzupełniające luki w renesansowych kasetonach stropu (kolejne puste miejsca wypełni na Wawelu po latach, już na zlecenie władzy ludowej); on, który sam poczuł na karku, co znaczy służyć w Legii Cudzoziemskiej, który przeżył pięć lat nazistowskiego obozu zagłady („bawiłem w Oświęcimiu” – obdarzony swoistym poczuciem humoru, powiedział dziennikarzowi), poszedł na kompromis z socrealizmem i zagubił to, co było najistotniejsze dla jego twórczości – siłę wyrazu. Był coraz mniej artystą. Stał się instytucją. Między wojnami sponsorował go w Paryżu słynny krawiec Antoine, a w kraju biskup Arkadiusz Lisiecki, który zadłużył się, zamawiając u niego rzeźbiarskie kolosy do katedry w Katowicach. Wszędzie było pełno Dunikowskiego; został uwieczony Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury – dział 4: „za wybitne zasługi dla polskiej sztuki w ogóle” (uwaga – był i dział 7: także wawrzyny „za krasomówstwo sądowe”).

W roku 1948 ów „trochę cynik” – występuje w „Dziennikach powojennych” Marii Dąbrowskiej jako ten, co „podobno zbiór swoich rzeźb ofiarował państwu, gdyż nie miał ich gdzie trzymać, a za to ma dostać wilę (...), awanturnik, rozpustnik (acz bardzo szpetnej gęby i postury), poszukiwacz mecenasów i przygód”. W przeciwieństwie do niepokornej Dąbrowskiej giętka Zofia Nałkowska w „Dzienniku” pisze: „stary, nieduży, wesoły Dunikowski”. Nie mogła inaczej, wszak dostawała sygnały, że artysta wobec osób z kręgów rządzących akcentuje: „Nałkowska jest najpiękniejszą kobietą, jaką znałem”. Osiemdziesięcioośmioletni laureat nagrody I stopnia ministra obrony narodowej w 1963 ofiarował wszystkie nowe rzeźby Ludowemu Wojsku Polskiemu. Wojsko przekazało je Muzeum Narodowemu – i tak oto możemy kolekcję oglądać w Królikarni. Za życia zadbał o los pozostawionych rzeczy.

Dziś ciszej o Dunikowskim. Tymczasem obrazy Wacława Pawliszaka „wypływają”; trafiają na aukcje i są wysoko notowane przez marszandów. To nader chodliwy towar w epoce osławiania starych dworców przez tych, którzy się dorobili. Hm, odnalazł się zawieruszony odbiorca. Trzeba nobilitować świeżo odmalowane ściany salonu czy gabinetu.

Ze śladem dzieła nieszczęsnego malarza zetknąłem się jako chłopiec w latach pięćdziesiątych. W kamieniczce w rynku w moim rodzinnym Olkuszu był sklep z farbami, lakierami, terpentyną, pokostem, szarym mydłem, pędzlami, szczotkami i z różnymi pastami. W centrum witryny królowała barwna reprodukcja obrazu przedstawiającego husarza. Na tle wyszczotkowanej sierści rumaka błyszcząły wysokie skórzane buty jeźdźcy. To była zamierzczła reklama wytwórni pasty do butów. Zawsze w drodze ze szkoły przyglądałem się reprodukcji. Kiedyś wreszcie wzrok przyciągnął umieszczony w prawym dolnym rogu podpis „Pawliszak”.